

Nic nie trwa wiecznie...

Siedzę na parapecie w ciepłym mieszkaniu na czternastym piętrze i patrzę na wybijający delikatne rytmy deszcz na szybie, w której widzę siebie i nie mogę powstrzymać obrazów przelatujących mi przed oczyma. Obrazów pochodzących z jednego z najgorszych, a zarazem najpiękniejszych okresów mojego życia, w którym po raz pierwszy dostrzegłem człowieka w innym świetle. Teraz wiem, że krople wody nie tworzą już melodii, ale skandują jedno imię: Megan.

Historia rozpoczyna się jakiś tydzień po tym, jak po raz drugi straciłem dach nad głową i zamieszkałem na ulicy. Z płytkiego snu, w jaki w końcu udało mi się zapaść, wyrwał mnie hałas spadającej pokrywki śmietnika na bruk. Pomyślałem, że znów ktoś wyrzucił coś do jedzenia i, aż dostałam dreszczy z rozkoszy, ponieważ wynoszenie śmieci dla innych było czymś normalnym, dla mnie dzwonkiem "podano do stołu". Kiedy jednak rozwarłem ślepią, zobaczyłem: nic. Dosłownie nic. Dlaczego? Bo-na wąsiki pradziadka-jest noc! Co za zwyrodnialec budzi uczciwego-przynajmniej kiedyś-kota, kiedy słońce oświetla tę drugą część planety!? Mruknąłem coś do siebie i kląć na czym świat stoi- wyslizgnąłem się cichutko zza kartonu, który awansował na moje tymczasowe lokum, próbując zlokalizować w powietrzu nowy zapach. Okazało się jednak, że zamiast dostawy energodajnych składników spożywczych zwanych przez plebs potocznie żarciem, doświadczam wręcz ich odpływu. Podeszedłem bliżej i zbaraniałem (wydaje mi się, czy to dziwnie brzmi w kocim pyszczku?) widząc małą, brudną dziewczynkę. Wtedy po raz pierwszy ścieżki mojego życia zetknęły się z tym imieniem, Megan. Od początku czułem, że ta mała ma w małym palcu więcej dobra, niż inni ludzie w całym sercu. Z jakiegoś powodu polubiłem i przywiązałem się do tej kruchej jedenastolatki, która swoje ostatnie spotkanie z mydłem, miała chyba jeszcze dawniej niż ja (a to nie świadczy za dobrze). Przypadła mi do gustu ze względu na to że, nie miała rasistowskich zapędów (jestem czarny) i nie uciekała ode mnie jak od zawzzonego kundla (te biedne maleństwa sam przygarnąłem), a także nie uważała, jak spora grupa ludzi, że przynoszą pecha (kto wymyślił te głupoty?). No i dzieliła się ze mną swoim jedzeniem (żeby nie było, nigdy nie udało jej się mnie przekupić. Prawie). Tak. Dzieliła się ze mną jedzeniem, chociaż sama szukała go w śmietniku. I tu był właśnie szczur zakopany-tak między nami-to chyba widzę tam jednego-Meg nie miała dzieciństwa jak inne... Nie. Ona nie miała dzieciństwa wcale.

Mieszkała z ojcem i macochą w jednej z najplugawszych dzielnic miasta-wiecie, tam, gdzie nawet te zbuntowane „człowieki” z zielonymi szczotkami od mioteł na głowach się nie zapuszczają, a jej dom, jeśli mogę tak górnolotnie, nazywa te nadgryzione przez myszy i czas ściany- wydaje się mniej warty zaufania niż ten mój (choć jest z kartonu). Ta mała zaintrygowała mnie do tego stopnia, że przyczepiłem się do niej jak rzep do psiego ogona. W tym czasie poznałem jej życie i wiem, że naprawdę nie chcielibyście się z nią zamienić, chociaż, osobiście, jestem chory z zazdrości o nią. Ludzie uważający się za jej opiekunów, nie interesowali się nią ani trochę, chyba, że czegoś potrzebowali albo musieli na czymś wyładować swoją złość. Chodziła brudna i obdarta w za dużych o trzy numery i przemakających butach. Stołowała się na śmietniku i nie miała dosłownie nic własnego, a mimo to byłem zielony z zazdrości o nią. Dlaczego? Bo wiem, że choć nie miała grosza przy duszy, a odgłosy jej brzucha słyszałem dwie przecznice dalej (przez co w chowanego zawsze byłem górą albo musiałem dawać jej fory), to jej duże oczy w zapadniętej twarzyczce bez przerwy lśniły. Lśniły nadzieją,

niespełnionymi marzeniami i miłością, której choć sama nie otrzymała, to była w stanie dawać ją innym. Początkowo myślałem, że tą swoją dobroć wytwarza jakoś w procesie fotosyntezy, ale po miesiącu deszczu byłem zmuszony odrzucić tę hipotezę. Któregoś wieczoru przyłapałam podczas rutynowej kontroli mojego człowieka (oswoiłem Meg, więc musiałem się o nią troszczyć, czyż nie?) na dziwnej czynności. Za nią w półkolu siedziała dziatwa wszelkiej maści i każdego rozmiaru. Wszyscy patrzyli na dziwne wzorki, jakie moja Megi rysowała kawałkiem stłuczonej cegły na ścianach. Po paru miesiącach znaczki były tak długie, że trzeba było chodzić od jednego końca muru do drugiego, żeby je zobaczyć. I pomyśleć, że wreszcie poznali się na mojej małej dziewczuszcze-na wąsiki pradziadka-aż spuchłem z dumy. Jakiś czas potem, gdy ziemię opatulili gruba śnieżna pierzyna i roziskrzyła świat i z r o b i ł a z i m n o, z dostępem do naszych metalowych jądłodajni zrobiło się ciężiej. To właśnie wtedy zaczęło się nasze życie na krawędzi, ze skaczącą adrenaliną, przytrzaśniętym ogonem (ja) i z obdartymi kolanami (Meg). Rozkręciliśmy bowiem naszą złodziejską działalność. Kradliśmy, kiedy byliśmy do tego zmuszeni, ale także zawsze, kiedy nadarzyła się okazja (nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się druga, a w brzuchach burczało nam bez przerwy). O tak, to były ciężkie, lecz jakże radosne czasy. Największą radością, stała się dla mnie wtedy możliwość zobaczenia uśmiechu moje małe dziewczynki i tego błysku szczęścia i pragnienia życia w jej oczach. Codziennie spaliśmy w pomieszczeniu pełnym wilgoci, brudu i przenikliwego chłodu. I codziennie zasypialiśmy wtuleni w siebie. Wtedy czułem, że bez względu na to, co przyniesie nam los jutro, jeśli tylko będę miał przy sobie Meg, będę szczęśliwy. Być może i szczęśliwy paradoksalnie do sytuacji i naszego otoczenia, ale jednak mając to ciepłe uczucie w sercu, że ktoś mnie kocha i wyczekuje. Megan kochała mnie, a ja kochałem ją. Razem, mogliśmy stawić czoła nawet piekarszowej (wyjątkowe wcielenie zła) i osiągnąć nawet najwyższe szczyty i najtrudniejsze cele. Pod koniec czwartej zimy, którą spędzałem z moją dziewczynką, zauważyłem, że coś zaczęło się zmieniać. Biegała wolniej niż zwykle, a w naszym fachu szybkie nogi to podstawa, jądła mniej, mimo że była większa niż podczas naszego pierwszego spotkania i spała znacznie dłużej niż dawniej. Najgorsze były jednak te dziwne odgłosy, które wydawała. Doszło w końcu do tego, że nie mogła nawet wstać, ale chociaż była tak słaba, dwa duże „człowieki”, z którymi mieszkała nie przestawały znęcać się nad nią i wysyłać do ciepłego (mam na myśli cieplejszego niż na polu, ale zawsze cuchnącego i wypełnionego typkami spod ciemnej gwiazdy) miejsca po metalowe, chlupoczące puszki, których nazbierali już tyle, że spokojnie mogliby pewnie podtrzymać nimi konstrukcje ścian i dorobić parę krzesel. Osobiście trwałem wiernie przy boku Megan, opuszczając postereunek tylko po to, by podrapać pazurami (a długie miałem i ostre bestyjki) tę głupią, wiecznie czerwoną parę „człowieków”.

Jak to zwykle tyle w baśniach (już nie tylko) bywa, dzień, który zmienił dla mnie wszystko, zaczął się niewinnie, tak samo jak setki innych przed nim. Złe „człowieki” kazały iść Meg oddać pieniądze jakimś szemranym szumowinom. Kiedy wracaliśmy z powrotem, zza chmur, wyszło nawet słońce i pomyślałem przez chwilkę, że moja dziewczynka wyzdrowieje i będzie jak dawniej, tylko dużo lepiej(z naciskiem na dużo). Przechodziliśmy akurat koło krzaczków które dwie zimy temu zasadziła mała ferajna (pocieszne szkraby), moja towarzyszka potknęła się o własne nogi i upadła. Przytruchtałem do niej, by mogła się na mnie podeprzeć przy wstawaniu. Położyła na mnie swoją kruchą dłoń, lecz zamiast-jak się spodziewałem-wstać, przyciągnęła mnie do siebie, mocno przytuliła i powiedziała mi do ucha, które ucierpiało w jednej z potyczek, trzy krótkie słowa. Jej ostatnie słowa. Meg więcej nie wstała. Nie zobaczyłem nigdy więcej jej uśmiechu i nie spojrziałem w te pełne miłości oczy, które tyle za mną wodziły. Megi umarła. A wraz z nią, moje małe kocie serce.

Siedzę na parapecie w ciepłym mieszkaniu na czternastym piętrze. Patrzę, jak ustaje deszcz i słońce pokazuje światu swoje oblicze. Dokładnie to samo, które trzy lata temu patrzyło na nieruchomą i zastygłą na zawsze twarz pięknej, małej dziewczynki, która przeżyła mniej niż powinna i doświadczyła znacznie więcej niż powinna. Jest mi szkoda tego słońca. Bowiem mam świadomość, że przeminiemy: ja i ty i to miejsce, a ono wciąż będzie bezskutecznie szukało drugiej tak czystej i bogatej duszyczki. I wiem, że jej nie znajdzie. Meg-moja Meg-była tylko jedna.

Megan/senior